

Aria

Gorące powietrze sprawiało, że każdy oddech wysuszał krtań i wlewał do płuc niewyobrażalny wprost żar. Vadim od dawna wędrował bez hełmu, w samym skafandrze. Po pierwsze - oszczędzał powietrze, którego nie zostało mu wcale aż tak dużo, a po drugie – w hełmie nie sposób było wytrzymać w takich warunkach, bowiem nie chronił w żaden sposób przed upiornym upałem. Pojemnik na wodę opróżnił już do połowy, a nie był pewien czy zadziała system uzdatniania płynów wbudowany w skafander. Jedynym błogosławieństwem były skały, między którymi przechodził, rzucające na ziemię zbawienny cień. Wędrówka między górami była najlepszym sposobem na pokonanie wytyczonej drogi i dotarcie do upragnionego celu.

Jego wyprawa zaczęła się prawie pół roku temu. Przypadkiem dowiedział się od pewnego przybysza o Arii – miejscu, o którym słyszał już kilka lat wcześniej. Nikt w obozie nie wierzył w jej istnienie, oprócz Vadima. Nikt nie brał poważnie opowieści maruderów o nowych, odbudowywanych miastach. Ponadto wszystkim w obozie wydawało się, że skoro są w stanie przeżyć w obecnych warunkach, to nie potrzebują niczego zmieniać. W żyłach Vadima płynęła jednak inna krew. Krew jego przodków, którym jako niewielu udało się przetrwać makabryczne mrozy, które nastąpiły na powierzchni Ziemi wiele setek lat temu. W tamtych czasach na wszystkie lądy nasunęły się gigantyczne lodowce, mroząc wszystko, co napotkały na swojej drodze. Mordercze mrozy, utrzymujące się przez setki lat, zredukowały zaludnienie planety o blisko osiemdziesiąt procent. Nieliczni, w tym przodkowie Vadima, potrafili zjednoczyć swoje starania i zapewnić sobie przetrwanie. Utworzyli wielkie obozy, ogrzali je energią słoneczną i wydobywanym z wielkim trudem gazem ziemnym. Obozy zgromadzili w jedno skupisko, nazywane przez nich miastem, któremu nadali nazwę „Nadzieja”. Determinacja pozwoliła im na przetrwanie trudnych warunków, w jakich przyszło im żyć. Początkowo zdziesiątkowani, powoli odżywali w miarę upływu czasu. Ich mała, kilkutyśniczna społeczność postanowiła pomóc innym. Dzięki nim zaczęły powstawać kolejne skupiska ludzkie, biorące z nich przykład i korzystające z ich doświadczeń. W ciągu zaledwie dwustu lat na Ziemi pojawiły się schrony budowane na wzór Nadziei. Z biegiem pokoleń ludzkich, lodowce zaczęły powoli ustępować, uwalniając gigantyczne ilości wody. Rwące potoki spływały spomiędzy cielących się brył lodu, wypłukując umocnienia zbudowane przed wiekami i niszcząc misternie wznoszone budowle. Kolejny kataklizm wstrząsnął ludzkością. Ofiarą olbrzymich roztopów padły kolejne istnienia. Ponownie przodkowie Vadima potrafili przeciwstawić się nowym okolicznościom. Szybko zorientowali się, że cofające się lodowce pozostawiają po sobie nie tylko zrównane powierzchnie, ale też stare, twarde skały. Na nich, w miejscach, gdzie pozostały lód zdążył się już wytopić, powstawały płaskie kotliny, w których postanowiono założyć nowe skupiska. W ten sposób stworzono po wielu latach starań Nową Nadzieję. Nowe miasto nie potrzebowało już ogrzewania, bowiem klimat na Ziemi wciąż się ocieplał. Z upływem czasu kolejne grupy oddzielały się od Nowej Nadziei i zakładały na nizinach własne miejscowości. Cywilizacja ludzka powoli wracała do łask przyrody. Ponownie zaczęły rozwijać się uprawy, ludzie oswoili nowe gatunki zwierząt. Tryb życia powrócił do tego, który panował tysiące lat wcześniej, a który ocaleni znali jedynie z opowieści. W ludzkich duszach zagościła pokora i respekt dla sił przyrody. Uważali, że wielkie mrozy były zemstą za to, co zrobił w przeszłości człowiek.

Zaniechali powrotu do poprzedniego poziomu swojej cywilizacji i zadowolili się obecnym. O erze wysokiego rozwoju technicznego przypominały im jedynie pojedyncze przedmioty,

skrzętnie skrywane przez kolejne pokolenia. W wielu miastach, w wielkich, stalowych skrzyniach należących przeważnie do starszyny każdej społeczności, leżały różnego rodzaju przyrządy elektroniczne, które bez energii elektrycznej nie były do niczego przydatne. Wśród nich były także przedmioty z czasów wielkiego mrozu. Jednymi z nich były termiczne skafandry zasilane energią słoneczną. Skonstruowane, by chronić przed przeraźliwym zimnem, doskonale sprawdziły się w warunkach, które nastąpiły później. Po pewnym czasie temperatura na Ziemi zaczęła wzrastać. Z każdym upływającym dziesięcioleciem robiło się coraz goręcej. Kolejne ciosy spadły na ludzkość. Wcześniejsze miasta traciły swoich mieszkańców i zaczynały się gwałtownie kurczyć, przeistaczając się wkrótce w niewielkie gromady, kurczowo trzymające się swoich namiotów dających im odrobinę cienia. Szybko zaczęło w obozach brakować wody, a nieliczne źródła znajdujące się u stóp gór, stały się powodem do walk między poszczególnymi plemionami. Kolejne z nich po wygranych potyczkach osiedlały się nad wodą, by po krótkim czasie zostać stamtąd przepędzonymi przez następną grupę, lub odejść, gdy źródło wysychało. Zamiast się jednoczyć – ludzie zaczęli się dzielić na coraz mniejsze klany, zwalczające się wzajemnie. Ci, którzy zostali w miejscu dawnych miast odkryli stare skafandry z czasów zlodowacenia. Przekonali się, że doskonale chronią przed upałem. Po pewnym czasie nauczyli się modyfikować podzespoły skafandrów. Przebudowali systemy ogrzewania w jednostki uzdatniania płynów oraz wzbogacili je w izolowane przed ciepłem pojemniki z powietrzem, potrzebnym w przypadku dłuższych wędrówek po rozgrzanej powierzchni Ziemi.

Jeden z takich skafandrów miał na sobie Vadim. Musiał się dużo namęczyć, by wejść w jego posiadanie, lecz koniecznie chciał go mieć za wszelką cenę, gdy tylko dowiedział się od przybysza o próbach wzniesienia Aarii na miejscu dawnego miasta, daleko na wschodzie. Wędrówka przez ponad Trzy tysiące kilometrów nie byłaby możliwa bez takiego skafandra. Prawdę mówiąc nawet z nim nie wydawała się łatwą sprawą. Jednak maruderzy, odziani w podobne skafandry, pokonywali o wiele większe dystansy, co dawało Vadimowi nadzieję, wręcz pewność, że i jemu się powiedzie.

Pokonał już trzy czwarte drogi i nic nie mogło mu teraz przeszkodzić w dotarciu do celu.

Za dalekimi Wzgórzami Skwaru natknął się na karawanę. Był wówczas w trzydziestym ósmym tygodniu swojej wędrówki. Pochód poruszał się na dziwacznych maszynach, które nie dotykały ziemi, tylko odpychały się od niej za sprawą wydmuchiwanego powietrza. Olbrzymie, płaskie pojazdy pokryte były jasnym płótnem, z którego wędrowcy wznosili solidne zadaszania, mające ich chronić przed upałem. Gdy patrole karawany wypatrzyły Vadima między skałkami, pochód zatrzymał się. Natychmiast podbiegło do niego kilku ludzi w skafandrach nieco przypominających ten, który miał na sobie. Groźne spojrzenia ich mocno przymrużonych oczu nie zwiastowały niczego dobrego. Przy jego szyi natychmiast znalazły się ostre groty włócznie zwiadowców. Mężczyzna podniósł ręce do góry. Strażnicy opuścili broń dopiero, gdy usłyszeli rozkaz przywódcy karawany. Potężnie zbudowany druid, który nimi dowodził przyjrzał mu się dokładnie, po czym życzliwie przyjął jako gościa i przywołał pojazdy. Maszyny poruszały się prawie bezgłośnie, co wprawiło Vadima w zdziwienie.

Przy kolacji długo wypytywano go o jego wędrówkę. Część podróżników zaśmiała się na wieść o Aarii, nie wierząc w próby zjednoczenia i odbudowania któregośkolwiek z dawnych miast. Starsi - druidzi karawany - nie lekceważyli jednak słów mężczyzny. Po dwóch dniach wspólnie spędzonego postoju pozwolono mu na przyłączenie się do nich na czas wspólnej drogi. Najstarszy z druidów posiadał kilka ciekawych wiadomości odnośnie Aarii. Wieczorami, gdy cała karawana łapała oddech po podróży w upale dnia i oczy wszystkich otwierały się szeroko, nie musząc chować się przed rażącym słońcem, druid zapraszał Vadima do wspólnego marszu po stygnącym piasku, na chłodnym powietrzu. Szli wolniejszym krokiem i sycili się swobodnym powietrzem, którego nie psuło już gorąco i unoszący się pył.

Przez pierwsze wieczory starzec wypytywał o plemię Vadima. Chciał poznać okolice, z

których pochodził mężczyzna, na wypadek kolejnych wypraw. Sam opowiadał o ludziach ze swojej karawany. Znał dokładną historię każdego z nich, wszystkie imiona i przydomki. Opowiadał o przygodach, jakie spotykały karawanę podczas wędrówek po całym zachodnim pustkowiu. Któregoś wieczoru poprosił Vadima, aby razem z nim oddalił się nieco od reszty karawany. Kiedy zostali kilkanaście metrów za ostatnim pojazdem, druid zaczął mówić przyciszonym głosem.

- Byliśmy tam wiele lat temu. Tam, dokąd idziesz. Niewielu z nas to pamięta, a większość niestety już od dawna nie żyje. Miejsce, które nazywasz Arią istnieje od wielu lat. Z tego, co wiem, liczyło ich sobie niecałe czterdzieści, kiedy zawitałem do niego na początku swojego życia. Teraz musiałyby więc mieć ponad sto lat... Wtedy nie było niczym szczególnym, na pierwszy rzut oka. Jednak w zwyczajnych chatach, jakie budują wszystkie znane mi plemiona, chatach z resztek zamierzchłych dziejów, z pozostałości po naszych przodkach, w nich pierwsi budowniczości Arii rozwijali swoją wiedzę. Później, gdy jako młodzieniec podróżowałem z karawaną, dochodziły do mnie co jakiś czas wieści od spotykanych po drodze ludzi. Słyszałem, że w ciągu kilkunastu zaledwie lat, korzystając z zapisków i różnych przedmiotów odzyskanych z podziemnych schowków, budowniczości miasta osiągnęły niewiarygodny wręcz stopień rozwoju. Nauczyli się panować nad ciepłem powietrza i bronić się przed nim, nauczyli się przetwarzać zwykły piasek w nowe materiały, bardzo twarde i wytrzymałe. Zbudowali maszyny potrafiące wydobywać ogromne ilości pitnej wody z wnętrza ziemi...

Vadim słuchał tego z otwartymi ustami. Aria istniała! Teraz miał pewność!

Druid przybliżył się do niego.

- Słyszałem też wiele innych rzeczy... - Zaczął.

- Jakie? Powiedz... - Odparł Vadim.

- Niektóre z nich nie mieściły mi się do niedawna w głowie. Myślałem, że biedacy powtarzający podobne brednie zostali po prostu zbyt mocno spaleni słońcem... Ludzie opowiadają przeróżne bzdury, gdy w ich głowach, po miesiącach wędrówki w słońcu pozostaje jedynie bulgocząca papka... - Druid zamyślił się na chwilę. – Tak, czy inaczej słyszałem rzeczy niewyobrażalne. Zapewne chcesz o nich usłyszeć?

- Oczywiście! – Odpowiedział szybko mężczyzna.

Druid pokiwał głową i leciutko się uśmiechnął.

- Nadajesz się do Arii. Jest w tobie chęć, jest odwaga. Powinieneś jednak przygotować się na wszystko, nawet na zjawiska niemożliwe do zrozumienia. Musisz mieć całkowicie otwarty umysł. Słuchaj więc...

Druid zaczął mówić, a w głowie Vadima powstawały wizje miasta, do którego zmierzał. Ludzie Arii nauczyli się panować nad dźwiękiem, materia, potrafili wytwarzać pola siłowe, elektryczność i wiele innych rzeczy, których już druid nawet nie potrafił opisać. Mężczyznę zaskoczyła jednak wiadomość, którą usłyszał jako ostatnią: od blisko dwudziestu lat nikt nie słyszał o Arii. Żaden z podróżujących w tamtych rejonach nie znalazł nawet śladów miasta.

- Twoje poszukiwania niestety mogą okazać się daremne... – Stwierdził druid.

Zdziwiony mężczyzna położył rękę na ramieniu starca.

- Co mówisz? Przecież miasto nie mogło zniknąć! – Rzekł uniesionym szeptem.

- Spokojnie, przyjacielu... - Odparł druid. – Równie dobrze to mogą być zwykłe plotki. Opowieści, jakie wędrowcy snują podczas długich podróży, by je nieco ubarwić i urozmaicić. Wiemy wszyscy doskonale, że do obecnej sytuacji doprowadził właśnie niekontrolowany rozwój techniczny, choć niektórzy sądzą, że to zabobon, straszdyło przeciw postępowi... Tak, czy inaczej brak wiadomości o niczym nie przesądza. To, że nie ma o Arii żadnych wieści nic jeszcze nie znaczy...

- A ja myślę, że jednak coś w tym jest... - Do uszu obydwu mężczyzn doszły czyjeś słowa,

wypowiedziane kilka kroków za nimi.

Odwrócili się natychmiast, by sprawdzić, do kogo należały. Za nimi stał mężczyzna, który przyłączył się do karawany na kilka dni przed Vadimem. Krótkie, ciemnoszare włosy stanowiły kontrast z ciemną skórą jego twarzy, wysuszonej słońcem podczas wieloletnich wędrówek. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Pozwólcie, że przyłączę się do waszej rozmowy...

Obydwaj mężczyźni spojrzeli na siebie, po czym skinęli głowami.

- Mam na imię Bragga. Pochodzę ze wschodniej części równiny Dawnych Sześciu Miast, na południu od miasta, o którym mówicie... - Bragga zawiesił na chwilę głos. - Od Arii.

Mężczyźni ponownie skinęli głowami. Ich nowy rozmówca wyciągnął manierkę zza poły długiego, szarego płaszcza i pociągnął z niej porządny łyk wody. Ponownie obdarzył ich szerokim uśmiechem.

- Nic nie zastąpi smaku zwyczajnej wody! Żadne odzyski ze skafandrów, czy kondensatorów.

- Przed nami ciężka droga. - Rzucił od niechcenia druid. - Nie żał ci teraz wypijać wodę? Później może być o wiele bardziej potrzebna...

Bragga nie zwrócił uwagi na słowa starca. Patrzył z zaciekawieniem na Vadima.

- Może to nie przypadek, że nikt nie widział miasta od dłuższego czasu... - Rzekł niby sam do siebie.

Z czoła pochodu rozległy się krzyki. Któryś ze zwiadowców zwoływał wszystkich do głównego wozu. Druid szybkim krokiem ruszył do przodu w kierunku głosów.

- Ty nie idziesz? - Spytał Bragga.

- Nie. Nie należę do karawany, tak jak i ty...

Bragga skinął głową.

- Słuchaj, to co mówiłeś przed chwilą, że to nie przypadek... Co miałeś na myśli?

- Skąd u ciebie to zainteresowanie Arią? - Odparł pytaniem ciemnoskóry mężczyzna - Co ciebie tam tak ciągnie?

Vadim potarł zmęczony kark. Wciągnął mocno powietrzem nosem i wypuścił po chwili ustami.

- Czujesz?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Pustynia. Wszędzie ten sam zapach. Suchy i gorący.

- Powiedz mi lepiej coś, czego nie wiem, chłopcze...

Vadim odwrócił się przodem do Braggi i złapał go za przedramię.

- Nie chcę tak żyć. Nigdy nie chciałem. Zawsze wiedziałem, że jest coś innego... Zawsze miałem pewność, że można opanować żar palącego słońca, pobudzić ziemię do oddania nam życiodajnej wody. Wiem, że powrót do rozwoju sprzed czasów lodu jest możliwy! I wiem, że jedynie to jest ratunkiem dla ludzi, którzy chcą przetrwać...

Niepokój na przedzie karawany ucichł. Powracający ludzie krzyczeli do tych, którzy zostali z tyłu i wyjaśniali przyczyny zamieszania. Okazało się, że karawana musiała nieco zmienić swoją trasę, gdyż przesmyk, którym zamierzali przemaszerować został zawałony kamieniami i poduszkowce nie dałyby rady tamtędy przejechać.

Czarnoskóry mężczyzna odwrócił dłonie ku górze.

- Skąd ta pewność? Dlaczego uważasz, że nie możemy żyć tak, jak żyliśmy do tej pory? - spytał.

Vadim przykucnął i podniósł garść piasku. Strumyki żółtego-czerwonego pyłu przelały mu się między palcami.

- Znam historię ludzi. Moje plemię przekazuje ją każdemu młodemu mężczyźnie. Zmiany, jakie zachodzą na Ziemi są już zbyt gwałtowne i drastyczne. W tak krótkim czasie całą powierzchnię opanował lód, by jeszcze szybciej ustąpić i zamienić powierzchnię naszej planety w wielką pustynię... Jeszcze dziesięć, dwadzieścia lat - i nie będzie tu można

oddychać! Jest coraz goręcej. Pomrzemy w straszliwych męczarniach. Popalimy się jak drwa w ogniu...

Mężczyzna pokręcił głową i podniósł kolejną garść piasku.

- Tyle z nas zostanie...

- Aria istnieje. – Rzekł krótko Bragga.

Vadim odwrócił twarz w jego stronę. W jego oczach zapłonęły ognie. Czarnoskóry mężczyzna z szerokim uśmiechem kiwał głową.

- Więc to prawda! – Szepnął młodzieniec, lecz po sekundzie zmrużył oczy. – A Ty skąd miałbyś o tym wiedzieć?

- Może nikt jej nie widział dlatego, że Aria nie chce być widziana...

- Co mówisz?

- Wyjaśnię ci to wszystko w dalszej drodze. Jest jej jeszcze trochę przed tobą.

Umysł Vadima przez chwilę trawił usłyszaną wieść. Skinął zgodnie głową.

Bragga chwycił go za ramię i przytrzymał.

- To nie wszystko, prawda? Nie powiedziałaś mi o wszystkich powodach Twojego zainteresowania Arią...

- O czym mówisz?

- Jest coś, czego jeszcze nie powiedziałaś.

- Jest jeszcze coś... - Vadim przez moment wpatrywał się w oczy Braggi. – Od kilku lat mam pewne przeczucia, za każdym razem coraz silniejsze. To jakby pewność... Coś we mnie, w środku. Jakiś głos mówi mi, że Aria mnie potrzebuje. Muszę się tam pojawić... W dziwny sposób wiem, że mam coś, co pozwoli Arii trwać i uratować gatunek ludzki...

Bragga uściskała kompana i zaśmiała się.

- Proponuję ci swoje towarzystwo w dalszej drodze. I tak powinieneś się już odłączyć od karawany, jeśli chcesz dotrzeć na miejsce. Słyszałaś, że pochód odbija od wcześniejszej trasy i obiera nową, która jedynie oddali cię od celu. Pójdziemy razem.

Vadim ochoczo skinął głową.

Odłączyli się od pochodu trzy dni później. Przez ten czas nie rozmawiali ze sobą zbyt wiele. W ciągu dwóch dni pakowali rzeczy i omawiali plan drogi, jaką przyjdzie im pokonać. Trzeciego dnia, pod koniec nocnego postoju pożegnali się z członkami karawany. Od najstarszego druida otrzymali niezwykle cenny prezent – zapas wody. Cztery pokaźnych rozmiarów bukłaki stanowiły na pustyni prawdziwy skarb.

Dalszą drogę musieli pokonać pieszo, wygoda podróżowania poduszkowcem skończyła się wraz z oddalającą się karawaną. Dzięki maszynom karawany pokonali przynajmniej dziesięć razy więcej drogi, niż w tym samym czasie przeszliby na własnych nogach.

Wkrótce przed ich oczami zaczęło pojawiać się wynurzające się zza horyzontu słońce. Pierwsze jego promienie ukłuły ich w oczy, musieli znowu nastawić się na wędrówkę z przymrużonymi powiekami.

Budzące się dopiero słońce nie grzało jeszcze w pełni swoich sił, każda minuta przybliżała jednak skwar dnia. Deszcze pojawiały się niezwykle rzadko, tak że nieraz człowiek mógł przeżyć całe swoje życie i nigdy ich nie doświadczyć. Kiedy już padały potrafiło to trwać nawet kilka dni. Vadim urodził się właśnie podczas takiego deszczu, a dokładnie ostatniego dnia ulewy. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że stanowi to dobry znak na jego przyszłe życie, bowiem w tych czasach ludziom nieczęsto przychodziło pojawiać się na świecie podczas deszczu. Kiedy był mały, mieszkańcy obozu czasem wołali za nim *Pluvial* i choć chłopak nie wiedział dlaczego akurat tak go nazywają, cieszył się z ładnie brzmiącego przydomku. Gdy dorósł do wieku dwudziestu kilku lat zaczął łaknąć wiedzy i sam w skupieniu wertował wszelkie możliwe zapiski. Znalazł przypadkiem w którejś ze skrzyń księgę z transkrypcjami języków. Było to bardzo grube opracowanie i zawierało tłumaczenia wyrazów w kilkunastu

językach, jakimi niegdyś posługiwano się na ziemi. Na jednej ze stron natknął się na słowo, jakie czasem słyszał za sobą w młodości.

- Pochodzący z deszczu... - Zamyślił się Bragga.

- Dlaczego to powiedziałeś? – Spytał Vadim.

Południowiec otarł z czoła kurz pustyni.

- Tak cię nazywano, nieprawdaż? – Zagadnął po chwili.

- A skąd Ty o tym wiesz? – Odparł podejrzliwie Vadim. – Ty też nie powiedziałeś mi wszystkiego, prawda?

Bragga westchnął głęboko.

- Vadimie, jestem posłańcem Arii... - Zaczął ciemnoskóry.

Młodzieniec spojrział na niego szeroko otwierając oczy, nie bacząc na oślepiające promienie słońca.

- Nie patrz tak na mnie, jeszcze chwila i oślepniesz...

Vadim poruszył tylko ustami nie mogąc znaleźć słów, jakie chciałby powiedzieć.

- A jak wyobrażałeś sobie ludzi z Arii? Z resztą nieważne. Wysłano mnie, bym znalazł ostatniego członka miasta. Może wyda się ci to dziwne, ale wcale nie ma nas tak wielu, jak mogłoby się wydawać. Nasi naukowcy dokładnie wyliczyli ilość ludzi, którzy powinni zamieszkać miasto. Musi nas być równo półtora tysiąca, ani więcej, ani mniej. To optymalna ilość. Miałeś rację mówiąc o zmianach, jakie niebawem zajdą na Ziemi. Temperatura wzrośnie. Wzrośnie tak bardzo, że za kilkadziesiąt lat żaden żywy organizm na powierzchni planety nie będzie w stanie przeżyć dłużej niż kilka minut. Ludzkość na Ziemi zginie, przyjacielu. Będą umierać w ogromnych męczarniach.

Vadim pokręcił nerwowo głową.

- Moje plemię, co z nimi?

- Nie ma dla nich miejsca w Arii, a my nie mamy już czasu, nawet gdybyśmy to miejsce mieli. Wiesz zresztą sam, że nie poszliby za tobą. Zebraliśmy w Arii ludzi, którzy przekonani są o słuszności całego planu, którzy wierzą w możliwość przetrwania. Ty wierzysz. Dlatego jako ostatni wejdiesz do miasta. Po nas wejście zostanie zamknięte. Nieodwołalnie. Przez kolejne lata musimy przygotować wszystko na nadchodzące upały.

Mężczyzna wciąż kręcił głową. Bragga potrząsnął młodzieńcem.

- Vadimie! Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Przez ostatnie miesiące wędrowki nie znalazłem prawie nikogo, kto wiedziałby, lub skłonny był uwierzyć w istnienie miasta, a ci, którzy akceptowali istnienie Arii nie wierzyli w jej misję! Nie mam już czasu, a ty jak najbardziej nadajesz się na mieszkańca. Jesteś zupełnie zdrowy...

Vadim spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Skąd...

- Po prostu cię zbadałem. – Wzruszył ramionami Bragga wyjmując jednocześnie zza poły płaszcz prostokątne pudełeczko i pokazując je mężczyźnie. – Tym, gdy spałeś...

Młodzieniec wziął przedmiot do ręki i zaczął mu się przyglądać z wielką uwagą. Pudełeczko miało po jednej stronie szybkę, pod którą lśniły srebrne przyciski. Wyglądało trochę podobnie do jednego z elementów skafandra, który miał na sobie. Oddał ostrożnie tajemniczy przedmiot właścicielowi. Ciemnoskóry mężczyzna wziął je z uśmiechem i schował z powrotem pod płaszcz.

- Przyzwyczaisz się do różnych przedmiotów i nauczysz nimi posługiwać. Nauczymy cię tego. Nauczymy cię wszystkiego, czego tylko będziesz chciał. Nawet więcej! Przyjacielu! Aria będzie dopiero początkiem, z którego postaramy się odbudować nasz gatunek. Za niecałe dwadzieścia lat będziemy w stanie rozbudować miasto, a za kolejnych czterdzieści – budować nowe...

Vadim słuchał jak zaczarowany dalszych słów Braggi. Mężczyzna roztaczał przed nim wizje i plany na dziesiątki i setki lat. Przez kolejne dni drogi opisywał mu dokładnie miasto, jego

zasady i warunki, jakie w nim panowały. Układ Arii, jej system powietrzny i wodny, opowiedział mu dokładnie o wszystkich maszynach i urządzeniach znajdujących się w mieście i wyjaśnił do czego służą. Z każdym dniem przed oczami Vadima rysował się coraz bardziej wyraźny obraz miasta. Niecierpliwość poznania tego miejsca wzbierała w nim przez cały czas. Chciał już się znaleźć wewnątrz miasta, pod jego ochronną powłoką zatrzymującą niemilosierne palące promienie słońca. Chciał poznać tych wszystkich ludzi, którzy podobnie jak on pełni byli zapału i wiary. Chciał natychmiast przyłączyć się do budowy nowego osiedla ludzi, nowej nadziei – Arii.

Nocami leżał na wznak, przy dogasającym ognisku i pochrapywaniu Braggi, i spoglądał w gwiazdy. Chciał nasycić oczy ich widokiem, bezpośrednią bliskością. Z tego, co zrozumiał ze słów kompana, w mieście nie miał już nigdy zaznać ich widoku. Będzie mógł co prawda raz na jakiś czas na nie spojrzeć przez ekrany w najwyższych partiach osłon miasta, ale to już nie będzie to samo... Uświadomił sobie, że jednak wielu rzeczy z dotychczasowego życia będzie mu brakowało w zamkniętym mieście.

Pod koniec drugiego tygodnia wędrówki, w południe, zza horyzontu wyłonił się srebrzysty kształt i od razu ukłął wędrowców odbitym blaskiem słonecznego światła. Obydwaj mężczyźni zasłonili oczy dłońmi i odwrócili głowy w bok. Światło było przeraźliwie jasne.

- Aria. – Stwierdził jednoznacznie Bragga mrużąc oczy.

- Aria... - Wyszeptał Vadim i przemógł się, by pomimo rażącego światła spojrzeć na miasto, do którego zmierzali. Z tej odległości mógł dojrzeć jedynie kopulasty kształt i nic więcej.

- Za dwa dni będziemy na miejscu. Teraz lepiej założmy gogle. – Inaczej nie damy rady iść w tym blasku. – Stwierdził Bragga.

Te ostatnie dwa dni okazały się chyba najtrudniejszymi z całej wędrówki. Jedynie noc dawały odpocząć oczom, które za dnia cierpiały od światła, odbijanego przez kopułę ochronną Arii. Gogle z czarnego szkła nie do końca były w stanie zatrzymać blask rzucany przez miasto prosto w ich twarze. Żar lejący się z nieba dodatkowo utrudniał mężczyznom marsz. Byli teraz na płaskiej odsłoniętej przestrzeni. Wszędzie wokoło, dokąd tylko można było sięgnąć wzrokiem, rozpościerała się płaska pustynia. Żadnych skał, czy nawet wydm. Słońce, które wstawało rano, do południa rozgrzewało odrobinę schłodzony nocą piasek, po czym jeszcze przed południem zdawało się zajmować już blisko połowę nieba i prażyło z nieugiętą mocą. Z całego zapasu wody, jaki mieli ze sobą opuszczając karawanę, pozostała im zaledwie połowa jednego, najmniejszego na dodatek bukłaka. Z godziny na godzinę Vadim widział kopułę miasta coraz wyraźniej. Srebrzyste refleksy świetlne tańczyły na jej powierzchni, jakby falami przechodząc z dołu do góry. Wyglądało to tak, jakby materia, z której ją zrobiono, była płynna. Kopuła zdawała się falować ku górze. Mężczyzna sam nie wiedział, czy działo się tak naprawdę, czy to tylko jego wyobraźnia reagowała na upał i blask odbijanych promieni światła.

Bragga dostrzegł zainteresowanie Vadima.

- Powierzchnia kopuły otoczona jest polem siłowym. To ono faluje. Dokładnie nie wiem co to jest i jak działa. Wiem jedynie, że skutecznie blokuje działanie sił przyrody, zarówno temperatury jak i wiatru. Podobno nawet silne uderzenia meteorytów nie mogą wyrządzić miastu szkody dzięki tej ochronie...

Vadim pokiwał tylko głową, choć nie zrozumiał do końca tego, o czym mówił jego towarzysz. W ostatnią noc przed dotarciem do Arii mężczyzna nie mógł zmrużyć oka. Był tak bardzo podniecony wydarzeniami, jakich spodziewał się następnego dnia, że bez przerwy kręcił się i przewracał z boku na bok. „Już jutro... Za chwilę będę w Arii...” powtarzał w myślach, dopóki trud dziennego marszu nie zmorzył go snem na kilka godzin przed świtem.

Następnego dnia, późnym popołudniem stanęli przed wejściem do Arii. Miasto było olbrzymie. Stali niecałe dwadzieścia metrów od niego, lecz Vadim musiał zadzierać głowę wysoko, by dostrzec choćby pierwszy skłon kopuły, wyższe partie znikały gdzieś powyżej

widocznego obszaru. Dopiero z bliska mężczyzna zobaczył, że sama kopuła jest koloru zielonkawego, a nie srebrnego, jak wydawało mu się z daleka. Podejrzał, że srebrna barwa była efektem tajemniczego pola, o którym wspomniał Bragga. Miasto spoczywało na wysokich i masywnych kolumnach, które objąć dałoby radę dopiero kilkudziesięciu ludzi! Dopiero kilkanaście metrów wyżej, na potężnych cokołach kolumn posadzony został spąg Arii. Takiego ogromu mężczyzna sobie nawet nie wyobrażał. Domyślał się, że zastanie wielkie miasto, ale nie przypuszczał, że będzie aż tak olbrzymie... Ten ogrom powodował przeświadczenie bezpieczeństwa, jakie miała dać ludziom Aria.

Vadim spodziewał się różnych odgłosów życia miasta, jednak zastali zupełną ciszę. Mężczyzna nerwowo spojrzał na ciemnoskórego.

- Coś się chyba stało! – Rzekł niespokojnie. – Nic nie słyszę, żadnej z maszyn, o których mi tyle mówiłeś. Nic!

- Spokojnie, przyjacielu... - Odparł Bragga. – Na zewnątrz nic nie słychać, to normalne. Osłony miasta są tak szczelne, że nie przedostanie się przez nie absolutnie nic. Żadne dźwięki, ani odrobina powietrza...

Ciemnoskóry mężczyzna strzepnął z płaszcza pustynny pył i ruszył w kierunku trapu prowadzącego do wejścia.

- Pożegnaj się z pustynią, przyjacielu! – Rzucił do Vadima. – Być może nigdy jej już nie zobaczysz...

Młodzieniec obejrzał się za siebie. Przemknął wzrokiem po niekończących się przestrzeniach gorącego piasku.

- Wcale nie będzie mi jej brakowało... - Rzekł sam do siebie, po czym podążył za Braggą.

Szybkim krokiem podeszli do wejścia. Bragga wyciągnął coś z wewnętrznej kieszeni skafandra, a następnie przyłożył przedmiot do zagłębienia przy drzwiach wejściowych. Z cichym szelestem rozsunięły się na taką szerokość, by mężczyźni mogli przez nie przejść. Vadim zauważył, że w pełnej szerokości drzwi zmieściłoby się przynajmniej czterdziestu porządnie zbudowanych mężczyzn, a na wysokość weszłoby przynajmniej dziesięciu równie rośliwych.

Bragga od razu pospieszył z wyjaśnieniem.

- Wchodzimy jednym z najmniejszych wejść. – Powiedział i uśmiechnął się przy tym życzliwie.

- Dobra? – Z uznaniem odparł Vadim.

Przeszli przez stworzoną lukę i znaleźli się w stosunkowo niewielkim pomieszczeniu. Drzwi wejściowe zasunęły się cicho za nimi. Na moment zapanował mrok, lecz po chwili ściany zaczęły się rozjaśniać osiągając w końcu żółtawą, przyjazną dla oczu barwę. Vadim poczuł silny podmuch powietrza na swojej twarzy. W pomieszczeniu uruchomiły się jakieś maszyny, które powodowały ten wiatr.

- Jesteśmy w służbie przejściowej... – Wyjaśnił Bragga nachylając się do mężczyzny. – Nie możemy wejść do miasta tak po prostu i wnieść ze sobą tych kilogramów pyłu i zarazków. Zanim zobaczysz właściwe miasto miną przynajmniej dwa dni... Będziemy musieli przejść swojego rodzaju kwarantannę...

- Dobrze, nie mam nic przeciwko tak chłodnemu powietrzu, jak to! – Zaśmiał się Vadim.

Bragga uśmiechnął się.

- Będziesz też mógł się wykapać... - Stwierdził obiecującym tonem.

- Woda... Kąpiel... - Odparł rozmarzonym tonem mężczyzna.

Po kilku minutach turbiny ucichły i powietrze w pomieszczeniu uspokoiło się.

Mężczyzna poczuł, że jego ubranie, zarówno płaszcz, jak i skafander - zostały zupełnie wyczyszczone z pyłu. Przejechał dłonią po powierzchni spodni. Były czyste. Żadnego piasku, żadnego pyłu. Nic z tego, co towarzyszyło mu od dnia narodzin. Uśmiechnął się sam do siebie. Taka czystość była dla niego czymś zupełnie nowym. Pomyślał jednak, że bardzo

łatwo przyjdzie mu się do niej przyzwyczać. Bez problemu obejdzie się bez piasku w uszach, oczach, ustach...

Bragga spojrzął na Vadima i spytał:

- Jesteś gotowy przywitać się z pierwszą odsłoną miasta?

Mężczyzna jedynie skinął twierdząco głową. Bragga ponownie przyłożył tajemniczy przedmiot do innego zagłębienia. Spokojny, kobiecy głos gdzieś nad nimi oznajmił matowym tonem:

- Witamy w Arii. Wejście „G” zostanie za chwilę otwarte. Prosimy o skierowanie się do pomieszczeń przejściowych. Dziękujemy i życzymy miłego pobytu.

Vadim z zaskoczeniem spojrzął w górę, w kierunku głosu. W tej samej chwili ściana przed nimi zaczęła się rozsuwać. Z powstającej szpary wyległo jaskrawe, niebieskie światło, które po chwili oślepiło zupełnie obydwu mężczyzn i spowiło ich swoim blaskiem. Vadim poczuł, jak ktoś chwyta go za rękę.

- Chodź ze mną. – Usłyszał obcy, lecz przyjazny głos.

Dłoń, która go dotknęła była gładka, miękka i bardzo przyjemna w dotyku. Przez promienie niebieskiego światła był w stanie dostrzec jedynie zarys postaci, która stała przy nim.

- Chodźmy, przyjacielu... - Usłyszał pogrzejający głos Braggi.

Vadim ścisnął dotykającą go dłoń i ruszył w kierunku światła.

Michał Galczak
mihaugal@wp.pl